



EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA

WIEZI I POWROZY



EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA
WIĘZI I POWROZY

TOM 5



Wiodąca wśród pól droga tonęła w butwiejących liściach i gnijących owocach dzikiej gruszy. Szumiały suche trawy. Z daleka niosło się rżenie koni, poszczekiwanie psów, porykiwanie bydła pędzonego do obór z umierających pastwisk. Wieśniaczki przykute do motyk, pochylone nad zagonami, wypełniały kartoflami kosze, podcinały kapustę, otrzepywały z ziemi buraki. Te młodsze poprawiały na plecach kwilące tłumoki, nuciły coś uspokajająco. Starsze umilały czas pogawędką. Ot, o wszystkim i o niczym, byle wytrwać do zachodu. Nad polami pośród gawronów krążyło zmęczenie, unosiła się mgła, opadało słońce. Zanim rozkwitną pierwsze gwiazdy, kobiety wyprostują plecy, poprawią na głowach chustki i polami, miedzami zaniosą swoje utrudzenie do domów. Mężczyźni, pokrzykując na konie, będą zwozić furmankami plony, a mijając jaśnie panią Szaratową, zdejmą z głów czapki i pozdrowią ją z szacunkiem.

– Szczęść Boże – powiedzą.

– Szczęść Boże – odpowie im uprzejmie.

Zwykle o zachodzie Zosia wychodziła na topolową aleję, wspinała się na palce, zakrywała dłonią słońce, wypatrywała swoich. Bartek i Stach, odkąd ruszyli z powstańcami, jakby zapadli się pod ziemię. Tyle miesięcy minęło. Ci, którym dane było wrócić z wojaczki, dawno wrócili. A od nich żadnych wiadomości.

Witalis Kijarski, ogrodnik zatrudniony tu od wiosny, na widok jaśnie pani porzucał swoją robotę, przystawał w oczarowaniu, odprowadzał wzrokiem znikającą w topolowym cieniu smukłą postać. W sercu chował nadzieję, ale za wcześnie, by mówić o niej głośno. Czekał. W przeciwieństwie do pani Szaratowej liczył, że jej mąż nigdy nie wróci.

Jeszcze latem, gdy chroniła się przed upałem w altanie, przychodził do niej to z gałązką jaśminu, to z bukietem stokrotek. A w pewien lipcowy dzień przyszedł z kwiatem świeżo rozkwitłej lilii. W milczeniu położył go przed nią na stole.

Oderwała wzrok od książki i uśmiechnęła się.

– Piękny – pochwaliła.

– Nie może być inaczej. Lilia to symbol piękna, a ponieważ kwitnie wysoko ponad ziemią, również czystości i majestatu. Dlatego...

Chciał dodać coś jeszcze, ale nie pozwoliła na to.

Odniosłaby się do całej sytuacji pobłaźliwie, gdyby ten człowiek był prawdziwym ogrodnikiem, a jego gest wyrażał jedynie popisanie się efektami ogrodniczych zabiegów czy zwykłe uszanowanie dla pracodawczyni. Ale Witalis ogrodnikiem nie był. Jego maniery i szeroka wiedza ujawniały arystokratyczne korzenie i środowisko, z którego się wywodził. Ten człowiek ukrywał się przed carskim reżimem i mimochodem wplątał ją w swoją sytuację. Dorównywał jej, a może nawet przerastał stanem, dlatego pozwalał sobie na śmiałość, jaka nie przystoi byle ogrodnikom.

– Dziękuję – ucięła i wróciła do książki.

Ale on nie dał się odprawić.

– Fredro? – zapytał, podglądając okładkę.

– Owszem – rzekła chłodno.

– Dlaczego on? – indagował.

Złożyła książkę, westchnęła i wreszcie zaszczyciła natręta uwagą.

– A dlatego, drogi panie, że ten hrabia w przebraniu wieśniaka zbiegł z rosyjskiej niewoli.

Witalis przysiadł na ławce i nachyliwszy się ku niej nieznacznie, szepnął, unosząc do góry brew:

– Hrabia uciekł w przebraniu? Zatem zrobił dokładnie to, co ja. Cieszę się wobec tego, że taki precedens pani imponuje.

– Niechże pan nie będzie zuchwały – odparła poirytowana. – Myślę raczej o moim mężu, którego być może Moskale przetrzymują w niewoli. Modłę się, żeby udało mu się zbiec. A panu radzę więcej dyskrecji. Służba jest bystra, kto wie, czy już nie wywąchała, że z pana taki ogrodnik, jak ze mnie pokojowa.

Roześmiał się.

– Proszę się nie obawiać, dbam o pozory. Jem z nimi, śpię z nimi, wieczorami przegrywam z nimi w karty... Dla nich jestem ogrodnikiem, zaufali mi i polubili jak swojego. Proszę jedynie mówić do mnie po imieniu, jak przedtem, zanim domyśliła się pani wszystkiego. Proszę mówić jak do ogrodnika.

Potrząsnęła głową.

– Odkąd wiem, że pan nim nie jest, czuję się niezręcznie. Proszę zdradzić pańskie prawdziwe imię.

Spoważniał.

– Dla dobra pani i swojego wolę je zachować w tajemnicy.

– Rozumiem tę ostrożność – zgodziła się z ociąganiem. – W takim razie dla mojego i własnego dobra proszę tu ze mną nie przesiadywać – dodała.

– Racja – przyznał i wstał niechętnie z ławki. – Cóż, kiedy lubię pani towarzystwo.

Pochylił się nad jej dłonią, lecz zabrała ją i skarciła go natychmiast:

– Ogrodnik nigdy nie zachowałby się w ten sposób!

– A zakochany ogrodnik? – szepnął.

– Nie obchodzi mnie to, nie w głowie mi amory – rzuciła ze złością. – Mam inne zajęcia, niż oganianie się przed panem. I inne zmartwienia.

Kiedy odszedł, próbowała wrócić do lektury, lecz ślizgała się tylko wzrokiem po gąszczu liter. Nie chciały się składać w zdania.

Rozmowa, którą dwa dni temu odbyła z Ignacym, spędzała jej sen z powiek. Problem kontrybucji wprowadzonej przez cara, która objęła wszystkie polskie majątki, stawał się coraz bardziej dotkliwy. Już teraz było to całe dziesięć procent dochodu majątku, a nowe rozporządzenia zapowiadały, że opłata może być jeszcze większa. W dodatku obowiązywały bardzo restrykcyjne terminy jej uiszczania. Kto nie zapłacił w ciągu siedmiu dni od otrzymania wezwania, straci na rzecz Rosjan cały majątek. Poprzez coroczne opłaty oszczędności topniały w zastraszającym tempie. Trzeba zaciskać pasa, znacznie więcej zboża i innych plonów przeznaczać na sprzedaż. Zosię przerażała wizja głodu.

Pod koniec września, gdy słońce za oknem mamiło jeszcze letnią obietnicą, Florek zagał przy śniadaniu:

– Czy mamusia pozwoli mi dzisiaj później rozpocząć lekcje?

– A to dlaczego? – Zdziwiła się Zosia i mimochodem spojrzała na Juliana. – Wakacje się skończyły, a poza tym powinienś zapytać o to również swojego nauczyciela.

– Panie Julianie... – Ton Florka zdradzał, jak bardzo mu zależy.

Nauczyciel z zastanowieniem sięgnął po kubek z mlekiem, upił łyk, otarł usta serwetką. Grał na zwłokę.

– Lekcje są ważne – odrzekł w końcu i teraz on poszukał wzroku pani Szaratowej. Skinieniem głowy zgodziła się z jego zdaniem.

– Wiem, proszę pana. I ja przecież lubię się uczyć, ale...

– Co jest ważniejszego od lekcji? – Chciała wiedzieć Zosia.

– Ogrodnik... – zaczął Florek i zająknął się.

– Ogrodnik? – Zdziwiła się.

– Ogrodnik wyhodował olbrzymie dynie – dokończył Florek. – I dzisiaj będzie je ścinał, a Ignacy będzie mu pomagał przenosić je do stodoły. Chciałbym to zobaczyć.

– Co w tym ciekawego, synu? – Uniosła brwi Zosia.

– Sama dynia jest ciekawa – odparł podekscytowany Florek. – Ogrodnik obiecał, że po obiedzie wyrzeźbimy z nich latarnie.

– Lampiony! Jak w Irlandii – podchwycił Julian, bo i jemu pomysł się spodobał. – Znam legendę o skąpym Jacku, opowiem ci.

– Był pan w Irlandii?

– Niestety, nie.

– A nasz ogrodnik był – rzucił pyszałkowato Florek. – W Irlandii, w Anglii, a nawet...

– Wystarczy, synu – przerwała mu szybko Zosia w obawie, że chłopiec zdradzi zbyt wiele. Zwyczajny ogrodnik nie podróżuje po całej Europie. Trzeba przestrzec Witalisa, żeby powściągnął język.

– Uważam, że dynie możesz obejrzeć po obiedzie. A teraz marsz na lekcje – rzuciła.

Ostatnie październikowe popołudnie upływało na szykowaniu się do zaduszek. Nikt nie krępował się mówić głośno o drzemiącym na dnie serca przekonaniu, że nadchodząca noc ożywi duchy. Wiara w istoty nadprzyrodzone urastała do realnych kształtów i nikt nie ośmielał się jej

kwestionować. Za kilka godzin nastanie szczególny czas, w którym świat żywych złączy się ze światem umarłych. To czas magii, w którym tęsknota silniejsza jest od rozumu, od racjonalnego pogodzenia się z odejściem najbliższych. Czas, w którym ze zdrowym rozsądkiem wygrywa wiara w powracające z zaświatów dusze i nadzieja na ich spotkanie. Dlatego należy im wskazać drogę, zapewnić bezpieczeństwo, przygotować miejsce i poczęstunek.

Zosia była zajęta. Towarzyszyła Jadwini i Boguni w kuchni przy pieczeniu zaduszných chlebków, które wszyscy tu nazywali powałkami.

– A dlatego powałki, bo odkłada się je do wystudzenia na belkę pod powałą – tłumaczyła Florkowi Bogunia, a ten porwał jeden chlebek, ze smakiem podskubywał rumianą skórę i wydłubywał gorący miąższ. Kucharka spoglądała na to pobłaźliwie. Ot, upiecze się jeden bochenek więcej. I tak trzeba było napiec ich przynajmniej tyle, ilu odeszło bliskich. Poza tym w Szumiejkach od lat pieczono dodatkowe bułki dla zapomnianych duszyczek, których grobów nikt nie odwiedzał.

Zosia z bólem musiała przyznać, że każdego roku liczba nieobecnych wokół niej rosła.

– To ile tych chlebków będzie? Niech no panicz Florek policzy – nakłaniała chłopca Jadwinia, żeby odciągnąć go od podjadania kolejnych wypieków.

– Ale z Przylipiem liczyć?

– Z Przylipiem, a jakże!

– Nie znałem ich, mogę o kimś zapomnieć.

– Pomogę ci – wtrąciła Zosia. – Licz.

– Babcia Rozalia... – zaczął Florek, ale Zosia natychmiast mu przerwała.

– Nie, najpierw Waleria.

– Aha, dobrze. Babcia Waleria, babcia Rozalia...

– Nie babcia – przerwała znów Zosia. – Waleria to twoja praprababcia. Potem prababcia Rozalia.

– No, tak. Potem babcia Eliza i dziadek Edward.

– Zgadza się. I Malwina.

– To też babcia?

– To trzecia żona dziadka Edwarda. Mów o niej po prostu Malwina.

– A jak się nazywała druga żona dziadka?

– Antonina.

– Nie policzyłem jej.

– Nie policzyłeś, bo nie wiemy, gdzie jest teraz. Może jeszcze żyje? – Zastanowiła się głośno Zosia, ale natychmiast tego pożałowała, bo Jadwinia już zastrzygła uszami.

– Jak to, druga żona żyje, pani Zosiu? – Zmarszczyła brwi. – To skąd się wzięła trzecia?

– Tak tylko pomyślałam. – Zmieszała się Zosia. – Oczywiście, nie mogło być już drugiej, skoro pojawiła się trzecia...

– W takim razie liczymy i drugą – skonstatował Florek.

– Tak – zgodziła się z wahaniem Zosia. – Policz też Anielę.

– To znów jakaś babcia? Czwarta żona? – Zdziwił się Florek.

– Nie, to nasza kucharka z Przylipia – wyjaśniła z rozczeniem Zosia, a Jadwinia aż pokraśniała z zadowolenia, że kucharkę włączono w ten rodzinny poczet.

– To i Elżbietkę chyba trzeba policzyć – wtrąciła nieśmiało milcząca dotąd Bogunia.

– Oczywiście, że policzymy – uznała Zosia i zwróciła się do Florka. – Licz. Elżbietka...

– Michaś – dorzucił Florek i spojrzał spłoszony na matkę. Może nie należało o nim wspominać? To wciąż bardzo bolesny temat.

– Michaś – potwierdziła ze smutkiem Zosia. – Klara... A jej rodzice? Dorota i Maciej zaginęli gdzieś. Żyją, nie żyją... Nie wiadomo. Może zesłani na Syberię?

– To liczyć czy nie liczyć? – Chciał wiedzieć Florek.

– Nie licz. Miejmy nadzieję, że są wśród żywych.

Jadwinia sceptycznie pokręciła głową, ale uwagę przemilczała.

– Kuzynka Eulalia – dopowiedział Florek. – I wuj Dionizy.

– Tak – westchnęła w zadumie Zosia.

– To ile naliczyłeś? – dopytywała Jadwinia, która rwała właśnie ciasto na kawałki i formowała je w małe bochenki.

– Na razie dwanaście – odparł Florek, po czym spojrzał niepewnie na matkę i zapytał lekko ochrypłym głosem: – A... tatko, mamusiu?

– Tatko? – Przestraszyła się tego słowa, jakby stało się właśnie ciałem. Zimnym i sinym. – Co ty mówisz, Florian... Tatko wróci.

– Ogrodnik powiedział coś innego – zauważył posępnie Florek.

– Nie chcę słuchać, o czym rozprawia ogrodnik. – Zdenerwowała się Zosia. – Tatko wróci. I wuj Stach też – ucięła i wstrzymując łzy, wyszła z kuchni.

– Cóżeś, paniczu, narobił? – burknęła z niezadowoleniem Jadwinia. – Po co to matkę ranić? Mało przeszła? Upieczemy dwa chlebki więcej, damy po cichu żebrakom, niech się za pana Szaratę i pana Stalickiego pomodlą. Nasza biedna pani Zosia nie musi o tym wiedzieć. Wcale nie musi...

Zosia nie wyszła tego popołudnia na drogę. Po słowach Florka zupełnie straciła nadzieję. Starła się odgonić natrętą myśl, że wśród umarłych

powinna wypatrywać męża. Ufność w jego ocalenie skurczyła się gwałtownie i zapadła jak to krwawiące słońce u schyłku dnia.

Nie chciała na to patrzeć.

Nie wyszła na drogę...

A tam zwykły bezruch. Jedynie miecione wiatrem liście unosiły się i z cichym szmerem opadały na ziemię.

Wieczorem pani Szaratowa poleciła palić wzdłuż traktu ogniska. Ignacy podrapał się w głowę.

– Dawniej tylko wokół domu paliliśmy ogień – protestował nieśmiało.

– Wiem o tym – skwitowała. – Dziś będzie inaczej. Rozpalcie, jak prosiłam.

– Dobrze – zgodził się i zawołał do pomocy Witalisa. Dołączył do nich Julian, a za Julianem pobiegł Florek. I tak, we czterech spełniali żądanie Zosi.

Zmrok zapadł szybko. Jadwinia i Bogunia krzątały się wokół kolacji. Józia dokładała do kominka w salonie, bo chłód wpełzł do domu, przylgnął do podłogi, ścian i grzbietów domowników.

– Skąd tak zimno ciągnie? – Dziwiła się Zosia, okrywając plecy wełnianą chustą.

– O raju, przecież dzisiaj trzeba we wszystkich oknach i drzwiach szczeliny dla duszyczek zostawić. Ochmistrzyni zawsze tak robiła. Pewnie w nocy do nas przyjdzie, więc lepiej, żeby nie musiała się dobijać! – Wzdrygnęła się Hanka.

– Myślałby kto, że tak za ochmistrzą tęsknisz – wtrąciła z przekąsem Józia. – Ja drewna do kominków nie nadążę nosić, a ty okna otwierasz.

– Lepiej marznąć niż mierzyć się z upiorem Elżbietki – burknęła Hanka. – Ona już za życia straszyla, a co dopiero teraz, o raju...

Łuny ognisk niosły się wysoko, rozdzierały ciemność. Blask łąsił się do szyb, zaglądał do jadalni, gdzie Zosia i Florek w milczeniu spożywali kolację. Julian nie chciał jeść, uciekł do sadu. Tam szeptał wyznania zbutwiałym liściom jabłoni usypanym na mogiłce Klary.

Nigdy w Szumiejkach nie było tak pusto, cicho i tak bezgranicznie smutno.

Józia wślizgnęła się do jadalni z przeproszającym uśmiechem, zostawiła pod kominkiem wypełniony drewnem kosz i bezszelestnie wyszła. Nie chciała przeszkadzać pani Szaratowej w kolacji hałasem i unoszącym się w powietrzu kurzem z popiołu.

Grubo ciosane polana przykrywała warstwa chrustu służącego do rozpalki. Na samym wierzchu spoczywał przedmiot, który przykuł uwagę Zosi. Patrzyła długo i bezmyślnie, dopóki nie uświadomiła sobie, że to porzucona przez Germana proca. Dawno temu. Tak dawno, że przez ten czas cały szumiejkowy świat zmienił się, postarzał i rozbolał.

– Gdzie jesteś, synu? – szepnęła.

Tylko tyle, bo gardło zacisnęła tęsknota.

Florek zerknął na matkę zdziwiony, potem powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem. Dostrzegł procę, podszedł do kominka i bez wahania wrzucił ją do ognia.

– Niech mamusia o tym nie myśli i nie płacze – rzekł twardo, jakby nie był Florkiem, tylko Germanem.

Przygarnęła go do siebie i przez moment kołysała w ramionach. Chłopiec pozwolił na tę pieszczotę, ale po chwili uwolnił się z jej objęć, wrócił na swoje miejsce i zapadł w zadumę.

Może zazdrosny o tę moją tęsknotę za nieobecnym synem? – pomyślała Zosia.

W jadalni panowała cisza. Czasem zaskwierczała świeca lub przeszywało ją dalekie ujadanie psów. Czasem zaszeleściła spódnica Józi albo Hanki przemykających amfiladą.

Po kolacji Zosia zarzuciła na plecy kubraczek z baraniej skóry i wyszła przed dom, popatrzeć na ogniska. Rzeźbione w oddali płomienie przyciągały wzrok, czarowały, jakaś siła czepiała się jej rąk, fałd sukni, ciągnęła bliżej światła. Ruszyła powoli, zahipnotyzowana żarem rozpraszającym przez wiatr, który wzniecał snopy iskier. Chwytała je noc i upinała na niebie jak świetliste broszki.

– Nie boi się pani? – Usłyszała znienacka głos, za którym wyłonił się z ciemności Witalis.

Drgnęła zaskoczona, ale postarała się, by jej odpowiedź nie zdradzała lęku.

– Nie. Spotkałam dużo zła na swojej drodze. Przywykłam.

– Przykro słyszeć, gdy delikatne usta wypowiadają takie słowa – rzekł, zrównując z nią krok. – Kobieta nie powinna iść sama. I nie pustą drogę mam na myśli, a życie.

– Moje życie nie jest puste – ucięła.

– Pani mnie źle zrozumiała – uniósł kąciki ust w pobłażliwym uśmiechu. – Nie śmiałbym nazywać pani życia pustym. Raczej samotnym.

– Samotna również nie jestem – zaprzeczyła. – Mam rodzinę.

– Taaak... Ja też mam. – Wymownie spojrzał w niebo. – Daleka do tej rodziny droga.

W mroku nie widział, że zacisnęła pięści. Zaklinała strach, żeby jego słowa nie okazały się prorocze. Bezmierny żal ugrzązł jej w gardle. Zatrzymała się tuż przy pierwszym z ognisk. Nie odzywała się, patrzyła tylko w to czerwonożłote migotanie.

– Nie chciałem pani urazić – przerwał milczenie, które zaczęło go uwierać. – Nie potrafię nikogo pocieszać, odkąd sam doświadczyłem bolesnej straty – dodał na usprawiedliwienie. – Życie jest okrutne.

– To nie życie – sprostowała posępnie. – To ludzie są okrutni.

Jej tęsknota, jego wyznanie i ból, którego każde z nich doświadczyło, kruszyły lody. Pozwalały na wzajemne zrozumienie i współczucie.

– Opowiesz mi? – poprosiła.

– Opowiedzieć? O tym, co mnie spotkało?

– Tak. Proszę.

– Ciężko do tego wracać...

– Wiem, ale kiedy powiesz, łatwiej ci będzie to dźwigać.

– Mówi pani z takim przekonaniem, jakby o tym wiedziała.

– Bo wiem. Straciłam rodzinny dom. Najpiękniejsze i najważniejsze dla mnie miejsce dzięki obecności najbliższych. Ale ich też już nie ma.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Rosjanie? – zapytał.

– Tak. Długo nie potrafiłam o tym mówić, nie chciałam pamiętać. Znienawidziłam los za to, że ich zabrał, a mnie ocalił. Rozpacz trzepotała mi w głowie jak drapieżny ptak, nie umiałam uwolnić się od niej.

– Znam to, znam – westchnął. – Ciekaw jestem, komu pani powierzyła swój ból? Bogu? – zapytał z nutką sarkazmu.

– Bogu? Nie. W tamtym czasie z Boga uczyniłam współnika tej zbrodni. Mówiono, że wszechmocny i miłosierny, a tymczasem dopuścił do takiej tragedii. Strata była dla mnie niewyobrażalna i bolesna...

Pokiwał głową, lecz milczał, więc mówiła dalej.

– Bartek... Mój mąż – wyjaśniła, a on znów skinął głową na znak, że doskonale wie, kim jest Bartek. – Pokazał mi ogołoczone z liści drzewa

i powiedział, że one też tracą wszystko każdej jesieni. Nigdy jednak nie słyszał, by złorzeczyły, tylko z wiarą czekają na nowe. I Bóg im tę wiarę wynagradza.

– Mąż miał chyba rację, prawda? Pani również otrzymała nowe. Starszego syna nie znam, ale Florian jest bardzo udaną nagrodą. – Przypieczętował stwierdzenie figlarnym uśmiechem, który ją zawstydził.

Na szczęście mogła złożyć rumieniec na karb purpurowych jęczyczków ognia, malujących jej policzki.

– Owszem, Bartek był mądry – przyznała, lecz nieoczekiwanie głos jej się załamał. Po raz pierwszy powiedziała o Bartłomieju w czasie przeszłym i te słowa zmroziły jej serce.

Witalis jakby czekał na wzruszenie, na słabość. Obrócił ją delikatnie ku sobie i długo patrzył w oczy. W jego źrenicach migotały płomyki, a usta rozchyliły się, jakby chciał coś powiedzieć, ale westchnął tylko i zacisnął je w milczeniu.

– Proszę teraz opowiedzieć o sobie – powtórzyła, otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie wywołało na niej jego spojrzenie.

Schylił się, podniósł suchą gałąź i dorzucił ją do ogniska.

– Nasz dwór wzniósł mój dziad, daleko stąd, na wschód od Warszawy. Piękny był. Przestronny, parterowy, wybudowany z modrzewiowych bali, przykryty gontowym dachem. Od frontu, podobnie jak tutaj, kazał wybudować duży ganek. Tyle że nasz wsparty jest na czerech słupach zwieńczonych trójkątnym szczytem. A wokół rozciąga się ogromny park, pełen krętych alei. Między drzewami połyskują stawy... Opisuję tak dokładnie, żeby nic nie umknęło z mojej pamięci. Żaden szczegół.

Patrzyła na niego zaintrygowana. Nie zadawała pytań, ale on i tak wyrzucał wszystko, co ciążyło mu na sercu.

– Ten dwór wciąż tam stoi. Panoszy się w nim teraz rodzina rosyjskiego generała, podczas gdy mój ojciec, matka, trzy siostry ciężko harują i przymierają głodem gdzieś na Syberii. Trafili tam przeze mnie.

Patrzył w ogień. Wzrok miał twardy, nieustępliwy.

– Miałem w piwnicy tajną drukarnię – ciągnął – oraz magazyn. Przechowywałem broń, menażki, części mundurów, koce, zapasy żywności. Wszystko, co potrzebne powstańcom. Matka bała się, błagała, żebym się tego pozbył, żeby przestali zaglądać do nas obcy. Nie zważałem na to. Wkrótce okazało się, że nie tylko ona była w strachu. Wieśniacy też się bali, że Moskale puszcza z dymem ich dobytki, gdy dowiedzą się o konspiracji we dworze. Ja sam się bałem, dlatego sypiałem w dzień, a w nocy czuwałem w tej piwnicy. Cóż... Nie upilnowałem. Ktoś doniósł. Przyszli po północy. Wyłamali drzwi i wszystkim, zarówno mojej rodzinie, jak i służbie, kazali się ubierać i wychodzić przed dom. Sami zabrali się za plądrowanie wszystkich pomieszczeń. Przyszli i do piwnicy, ale zdążyłem zabrać broń, pieniądze i uciec. Znałem tam każdy zakamarek, a oni nie, więc po omacku korytarzami dostałem się do piwnicznego okna, którym wydostałem się na zewnątrz. Stamtąd dotarłem do chaty ogrodnika. Jego żona dała mi węzełek z chlebem i słoniną, on podarował swoje ubranie, w które się przebrałem. Tak zaopatrzony pobiegłem w las. Kluczyłem po okolicy, pomagali mi dobrzy ludzie. Byli też tacy, co się bali, zamykali mi przed nosem drzwi. Aż dotarłem tutaj. Resztę pani zna.

– Nie o wszystkim wiem.

– Mój dziad piastował urząd ziemski i otrzymał tytuł barona.

– Szlachectwo dziedziczy się po mieczu, a więc i pan jest baronem – zauważyła skonsternowana i automatycznie przybrała oficjalną formę.

– Nie, nie – zaprotestował natychmiast. – W rzeczy samej, jestem baronem, lecz dla bezpieczeństwa proszę mi mówić po imieniu. Witalis.

– W takim razie domagam się podobnego zwrotu. Jestem Zofia – podała mu dłoń, którą z namaszczeniem ucałował.

– A nie. To co innego. Mogę tak mówić jedynie w sekrecie, na osobności. Zofio. Zosiu. Zośko... – Bawił się sprezentowanym słowem.

– **B**agienną sprzedano! – zawołała Józia, zanim weszła do sieni. Przez otwarte drzwi wpadł wiatr, a wraz z nim lekkie płatki śniegu.

– O raju! Drzwi zamykaj! – Napadła na nią Hanka. – Zimno leci.

– Zamykam przecież! – Józia, zawiesiła na haku paltocik i z kolei otworzyła drzwi kuchenne.

– Sprzedali Bagienną!

– Bagienną? – Jadwinia znieruchomiała nad stolnicą, na której ugniatała ciasto na pierożki. Spojrzała na Józję z zastanowieniem.

– Bagienna to majątek Rybarskich. Te lasy, po prawej stronie od Jeleniej Polany należą do nich – wyjaśniła Bogunia.

– Nie znam – mruknęła Jadwinia. – Ja przecież nietutejsza.

– Rybarskich już nie ma, powymierali – wtrąciła Hanka. – Ostatnio mieszkał tam kuzyn starej Rybarskiej, pan Drożycki, ale on zginął w powstaniu.

– Zasztyletowali go – dorzuciła Bogunia. – Szkoda. Nasze Szumiejki on właśnie uratował.

– Kto wie, jak to naprawdę było – westchnęła Hanka. – Za późno prawdy dochodzić.

– To co z tą Bagienną? – zapytała Bogunia, podając Józii kubek gorącego mleka. – Masz, wypij. Widzę, że zmarzłaś, nos masz czerwony.

– Dziękuję! – Zaśmiała się Józia. – Czerwony od wiatru, nie od mrozu. A o Bagienniej usłyszałam w miasteczku, ludzie gadali, jak stałam w sklepiku po igły dla naszej pani.

– Ta jak zwykle plotki do domu znosi. – Pokręciła głową Jadwinia. – W Warszawie z każdego sklepu i z targu przynosiła nowiny.

– I co? Nieprawdę mówiłam?

– W każdej plotce jest ziarenko prawdy, tak mówią – rzuciła Bogunia. – To co z tą Bagienną? Kto sprzedał? Przecież tam nie było żadnego spadkobiercy, rządca tam o wszystko dbał i czekał, aż jakaś rodzina się zgłosi.

– Podobno zgłosiły się dwie dalekie krewne, które prowadzą pensję dla panien w Łodzi – poinformowała Józia i upiła łyk mleka. – Dobrze! – Młasnęła i dodała: – Tak ludzie mówili.

– Razem prowadzą tę pensję? To pewnie siostry – domyśliła się Bogunia.

– Tak i w dodatku bliźniaczki – potwierdziła Józia. – A ta pensja nie byle jaka – dorzuciła z satysfakcją, jakby sama była właścicielką szkoły.

– O raju, nie byle jaka. – Obruszyła się Hanka. – A ty skąd to możesz wiedzieć?

– Pewna kobieta, która wyglądała na damulkę, mówiła w sklepiku, że te siostry nie przyjmowały byle kogo do pracy, tylko takie nauczycielki, które miały dyplom z Łęczycy.

– A w czymże one lepsze od innych? – Zdziwiła się Jadwinia.

– Mówiła, że w Łęczycy wszystko jest za zgodą władz. Prowadzone kursy i regulamin stosują tam do wymagań zaborców. Podobno trzeba też bardzo dobrze gadać po rosyjsku.

– Aha, rozumiem – burknęła Jadwinia. – Te dwie siostrunie to sługuski cara.

– Może nie – bąknęła Bogunia, która każdego starała się usprawiedliwić. – Może chcą tylko utrzymać pensję. Skoro nie mają mężów, muszą zarabiać na życie.

– Może, może – burczała Jadwinia. – Takie to czasy nastały, że kobieta musi radzić sobie bez opieki mężczyzny.

– No i dobrze. – Hanka wzięła się pod boki. – Jadwinia też sobie tak radzi. I żyje – dodała z satysfakcją. – O raju, zarabiać przecież nie wstyd.

– Nie wstyd. I co z tego? – Machnęła ręką Jadwinia. – Myślisz, że nie chciałabym też tylko się stroić, haftować kwiatki i książki czytać?

– Na to trzeba się urodzić – zauważyła Józia.

– Albo dobrze wyjść za mąż – odpowiedziała Jadwinia.

– O raju, żeby dobrze wyjść za mąż, też trzeba mieć urodzenie – stwierdziła Hanka.

– Albo urodę – dorzuciła Józia.

– A nasza pani Zosia ma i urodzenie, i urodę, a pracuje jak wyrobnica. Nieraz wieczorem zanim przewróci kartkę w książce, już śpi ze zmęczenia – rzekła Hanka.

– Bo ona tak chce – zawyrokowała Jadwinia.

– Nasza pani Zosia jest bardzo pracowita – przyznała Bogunia.

– Jest pracowita – zgodziła się Jadwinia. – Ale tu nie o to idzie.

– Nie o to? – Józia dopiła mleko i odstawiła kubek na stół.

– Lepiej go od razu umyć, bo zaschnie – poradziła Bogunia.

– Dobrze, umyję... O co idzie, niech Jadwinia powie.

– Pani Zosia tak dużo pracuje, żeby zapomnieć.

– Zapomnieć... – powtórzyła z zastanowieniem Bogunia.

– A mało to ma zmartwień? – Jadwinia zanurzyła obie dłonie w cieście, które z pasją zaczęła ugniatać. – Wysokie kontrybucje trzeba płacić i koniec

z końcem jakoś wiązać. Po spiżarniach i piwnicach widać, że nie jest wesoło. Wszyscy jemy skromniej. Pani Zosia głodu się boi, żeby nie było jak w Galicji.

– Nie tylko głodu – wtrąciła Hanka. – Ona boi się o Szumiejki, bo jak się spóźni z zapłatą, to ruskie majątek zabiorą, a nas na bruk!

– A tu mąż i brat nie wrócili z wojaczki, najpewniej już nie ma ich wśród żywych, to kto pomoże? Panicz German niby już dorosły, ale też na zsyłce. Może jakby pani Eulalia żyła, to pani Zosia do Warszawy by uciekła, ale pani Eulalia też już z aniołami biesiaduje. Tylko Florek został na pociechę.

– I my – dodała Hanka.

– My to nie rodzina – sprostowała Józia.

– Ale kochamy panią Zosię – upierała się Hanka.

Zaległa cisza, którą po długiej chwili przerwała Bogunia.

– Jest jeszcze ktoś, kto kocha panią Zosię.

Hanka i Józia spojrzały na nią spłoszone, Jadwinia zaś skwitowała surowo:

– Po co mówić głośno? Wszyscy i bez tego widzą, kto ugania się za panią Zosią. Wstydu nie ma. A wy trzymajcie gęby na kłódki, bo ludzie wezmą panią Szaratową na języki i będzie skandal.

Jakby słyszała, że o niej mowa, do kuchni wkroczyła Zosia.

– Trzeba porozmawiać, Jadwiniu – oznajmiła. Obie zawiesiły wzrok na oblepionych ciastem dłoniach kucharki. – Nie przeszkadzaj sobie – uspokoiła ją szybko Zosia. – Porozmawiamy tutaj, bo to dotyczy nas wszystkich.

– W miasteczku mówili, proszę pani, że Bagienną sprzedają – wyrwała się Józia.

– Wiem o tym, Józiu – ucięła Zosia. Nowinę usłyszała już w niedzielę po mszy, od Milejskiej. – Bagienna przeszła w ręce pewnej zamożnej ziemiańskiej rodziny, która utraciła własny majątek. Sprzedały ją jedyne spadkobierczynie Drożyckiego, jego dalekie krewne.

– O raju, mamy nowych sąsiadów? – Klasnęła w ręce Hanka. – To dobrze, pani Zosia nie będzie taka sama!

– Hanko, dziękuję za troskę, ale na pewno zauważyłaś, że nie nudzę się ani minuty – ucięła Szaratowa.

– Tak, przepraszam... – bąknęła Hanka i pomyślała, że pani to potrafi tak odpowiedzieć, że aż w pięty idzie. Niby dobra i łagodna, ale jej granic lepiej nie przekraczać.

– Moja Jadwiniu – zaczęła Zosia, po czym zamilkła, żeby całą przemowę ułożyć porządnie w głowie. – Otrzymałam z Krzemieńca list, zatem informuję, że ani państwo Oliniukowie, ani Udaszkowie nie przyjadą w tym roku na święta. Pierwsi zaprosili do siebie Karewiałów ze Starej Wody, więc i tych u nas nie będzie. Wobec tego wszystkie dania świąteczne, które zadysponowałam, unieważniam.

– To chyba lepiej, prawda? – wyrwała się Józia. – Teraz i tak mało co jest do jedzenia.

– Cicho ty! – Skarciła ją kucharka. – To... Co mamy przygotować, pani Zosiu? – Chciała wiedzieć. – I dla kogo?

– Tylko dla nas. Nie będzie nikogo z zewnątrz.

– Wychodzi na to, że pani tylko z paniczem Florianem będzie spożywała wieczerzę – zauważyła Jadwinia.

– I z Julianem – dodała posepnie Hanka. Wciąż miała w pamięci dramatyczną Wigilię, którą spędziła z panią Zosią przy zniszczonym stole. Stały na nim misy z gotowaną marchwią i kartoflami. Brakowało wszystkiego: ciepła, jedzenia, świec, a przede wszystkim ludzi. Ale między

nimi dwiema była solidarność, zrozumienie i nadzieja. Hanka dodałaby jeszcze „przyjaźń”, ale nie śmiała.

– Nie – odparła Zosia. – Przyjdziemy z Florkiem do was, spędzimy ten czas razem.

Elżbietka zapewne złapałaby się za głowę, babcia Rozalia wykluczyłaby taką ewentualność, a zgorszona Eulalia szeptałaby, że nie uchodzi spoufalać się ze służbą. Zosię jednak przerażała liczba pustych miejsc przy stole i echo kolęd spod nagrobnych płyt. Pragnęła być wśród żywych.

Na początku lutego, w popołudnie niemroźne, ale tak pochmurne, że nadciągająca śnieżycą była tylko kwestią czasu, na dziedziniec zajechały sanie. Wysiadł z nich mężczyzna ponad czterdziestoletni, krępy, niskiego wzrostu, w cylindrze, spod którego wysuwały się kępki czarnych, ledwo posrebrzonych siwizną loczków. Dżentelmen ów podał dłoń podobnej sobie wiekiem i posturą damie, której stopy w brązowych bucikach wysunęły się spod obfitych fałd sukni i po omacku szukały stopnia, o który mogłyby się oprzeć. Za ową damą wygramoliła się jeszcze jedna paniusia, spowita w czerń. Ta jednak była szczuplejsza, trochę wyższa i pewniejsza siebie. Opuściwszy sanie, przybysze stali przez chwilę niepewnie i spoglądali wyczekująco na drzwi wejściowe i ganek.

Obrazek ten zaobserwowała Hanka z okien salonu, gdzie omiatała kurze. Porzuciła miotełkę, wybiegła do holu i zawołała dyszkantem:

– Jacyś goście do nas! O raju!

Zaraz ruch się zrobił w całym domu. Hanka, na szczęście, nie straciła całkiem głowy. Jak stała, w samej sukience i fartuszkę wyskoczyła na ganek, ciągnąc za sobą Józię. Tam ustawiły się w skromniutki, powitalny szpaler.

– Państwo w domu? – odezwał się zaskakująco niskim głosem jegomość.

– Tttak... – odparła Hanka, ledwo panując nad szczękaniem zębami. Mężczyzna przeniósł wzrok na Józję, a ta potwierdziła błyskawicznym skinieniem głowy.

– Prowadźcie – zażądał gość.

Drepczące za nim damy uśmiechały się. Ta niska dobrodusznie, ta wyższa powściągliwie.

– Kogo mam zaanonsować? – zapytała Hanka, gdy już wszyscy znaleźli się w holu, a Józia odebrała od gości wierzchnie odzienie.

Mężczyzna w milczeniu sięgnął do kieszonki kamizelki, wyłuskał z niej bilecik wizytowy i trzymając go w dwóch palcach, ułożył z namaszczeniem na przeznaczonej do tego celu tacy.

– Ot – powiedział i cmoknął.

– Ot – powtórzyła jak echo niska dama i zaśmiała się nerwowo. Ta druga milczała.

– Proszę spocząć – wskazała im wyściełane pluszem krzesła Hanka, po czym schodami udała się do buduaru pani Szaratowej.

Niecierpliwe, a nawet trochę natarczywe pukanie Zosia przyjęła z niezadowoleniem. Porządkowała właśnie stare listy, które wymieniała z Bartkiem podczas swojej nieobecności w Szumiejkach. Zajęcie to było sentymentalną wędrówką w przeszłość, pełną tęsknoty i smutku. Dlatego niezmiernie trudny okazał się powrót do rzeczywistości.

– Co tam, moja Hanko? – zapytała z roztargnieniem. Jednocześnie składała listy i chowała je do kopert, by na koniec wrzucić wszystkie do szuflady.

Hanka dygnęła i podsunęła Zosi tacę z bilecikiem.

– Ludwik Wieroszewski – przeczytała półgłosem Zosia i zawiesiła na Hance pytające spojrzenie.

– Nie wiem, kto to – szepnęła służąca, unosząc brwi i rozkładając bezradnie ręce. – Przyjechał saniami w towarzystwie dwóch pań.

– Pewnie z Bagiennej – domyśliła się Zosia. – To dziwne, że nie przysłali tu nikogo z zapowiedzią. Gdzie czekają? W holu?

– Tak.

Kwadrans później pani Szaratowa odświeżona, w wizytowej sukni, witała gości. I choć w głębi duszy tkwiło rozczarowanie nieestosownością niezapowiedzianych odwiedzin, uśmiechała się uprzejmie, jak na ułożoną panią domu przystało. Zresztą pan Wieroszewski zdawał sobie sprawę z afrontu, bo wielokrotnie w ukłonach przeproszał:

– U mnie taka, że tak powiem, gorąca głowa, droga pani. Ledwo o czymś pomyślę, a już gotów jestem te fantazje spełniać. Proszę wybaczyć... A teraz, jeśli pani pozwoli, przedstawię towarzyszące mi damy. Oto moja żona, Marianna – pchnął lekko w kierunku Zosi okrągłutką damulkę, która bez wahania chwyciła panią domu w ramiona i wyściskała szczerze. – A tu bratowa, że tak powiem, Adela. Obie Wieroszewskie, więc, jakby nie patrzeć, obie moje. Zwłaszcza, że Adelfia wdowa – dorzucił, wskazując tę powściągliwą, która zaledwie skinęła głową i wyciągnęła ku Zosi dłoń. Uścisk był nadspodziewanie mocny i, trzeba przyznać, przy kwaśnym wyrazie twarzy, serdeczny.

– Bardzo mi miło – rzekła przyjaźnie Zosia, prowadząc gości do salonu.

– Szanowna pani zapewne się domyśla, że mamy zaszczyt być sąsiadami. Otóż odkupiliśmy Bagienną od dwóch niezamężnych sióstr, które...

– Tak, słyszałam o tym – przerwała Zosia. – No, i jakże się państwu mieszka w tym pięknym dworku?

– Ach! – Złożyła pulchne rączki Marianna i wzniosła ku niebiosom oczy, co miało służyć za cały zachwyt. Bardziej wymowna, choć skromna w wyrazie była opinia jej szwagierki:

– Zbyt ciasno.

– Ciasno? – Zdziwiła się Zosia.

– Och, bo też my nie mieszkamy tam sami! – Pospieszył z wyjaśnieniem Ludwik. – Jest z nami zacna mamusia mojej żony Janina Tymurowa oraz, że tak powiem, jej pierwszy małżonek...

– Pierwszy? – Zdziwiła się coraz bardziej zaintrygowana Zosia.

– To troszkę skomplikowane – szepnęła Marianna i zerknęła na męża.

– W istocie, trochę zawile – przyznał Ludwik i cmoknął. – Jej pierwszy mąż Wacław Tymur zginął, więc wydała się ponownie.

– Za twojego ojca, łachmytę – wtrąciła półgębkiem Adela, spoglądając ponuro na Mariannę.

– Jaki by nie był, zmarłemu należy się, że tak powiem, szacunek – upomniał bratową Ludwik, następnie zwrócił się do Zosi: – Tak... Bo drugi mąż teściowej rozstał się z tym światem.

– Zginął w powstaniu? – zapytała współczująco Zosia.

– Mój zginął w powstaniu – sprostowała Adela i rzuciła szwagierce pogardliwe spojrzenie. – Tamten spadł ze schodów.

– Och... – jęknęła Zosia.

– Nie ma kogo żałować – dorzuciła zjadliwie Wieroszevska. – Święty nie był.

– Może przesadził ździebko z okowitą i noga mu się, że tak powiem, na tych schodach omsknęła, ale co do zasady, to zacny był z niego teść – łagodził Ludwik, spoglądając to na żonę, to znów na bratową. – Tymczasem – pstryknął palcami – pierwszy mąż cudem się znalazł...

– Ten, co się zawieruszył? – Próbowła nadążyć Zosia.

– Ten sam – potwierdził Ludwik, po czym machnął ręką. – To zresztą nie jest temat, który zamierzaliśmy poruszyć na pierwszej sąsiedzkiej wizycie. Przyjechaliśmy w innej sprawie.

Po tych słowach zamilkł, a obie panie poprawiły się na krzesłach i wymieniły spojrzeniami. Coś wrogiego zawisło w powietrzu. Zosia nie ponaglała gości. Zamiast tego przywołała na twarz kurtuazyjny uśmiech i czekała. Przez dłuższy czas wszyscy milczeli w zakłopotaniu. Wreszcie ciszę przerwał Ludwik.

– Ile pani płaci kontrybucji?

– Dziewięćset rubli na rok – odparła zdziwiona nieoczekiwanym pytaniem. – A pan?

– Tysiąc dwieście – odparł, jakby z pretensją, że w urzędzie wyliczyli mu więcej.

– Pański dwór jest większy – stwierdziła Zosia.

– Ale ciasny – podtrzymywała Adela.

– Myślę... My wszyscy myślimy, a nawet wiemy to z całą pewnością, że byłoby u nas więcej miejsca, gdyby pani zabrała od nas krewnego... – zauważył Ludwik.

– Nie rozumiem. – Zosia zmarszczyła brwi. – Jakiego krewnego? Jest was za dużo i mam kogoś zabrać do nas? Do Szumiejek?

Adela z Marianną znów porozumiały się wzrokiem. Przestały być takie miłe. Obie siedziały z zaciętymi ustami i spoglądały na Zosię zimno i wyzywająco.

– Szanowna pani raczy posłuchać... – Ludwik wstał z krzesła i zaczął nerwowo przechadzać się po salonie. Jego głos zabrzmiał twardo i stanowczo. – Ten krewny nie jest nasz, tylko wasz.

Pod Zosią ugięły się nogi. Goście nawet w najmniejszym stopniu nie spodziewali się burzy, jaką rozpętali w jej sercu. Pani domu zbladła, a jej wargi i dłonie zaczęły niepokojąco drżeć.

– Skąd on u was? – zapytała.

Nie uzyskała odpowiedzi, goście jedynie popatrywali po sobie znacząco.

– Od dawna jest z wami?

– Od początku – padła niechętna odpowiedź.

– *Boże* – szepnęła bezgłośnie. – *Ja tu oczy wypatruję, łzy wylewam, zamartwiam się o moich mężczyzn, a tymczasem któryś jest tak blisko... Tylko który z nich, bo przecież mowa o jednym... Kto ocalał? Bartek? Stach? A może German uciekł z niewoli?*

– Szanowna pani dobrze się czuje? – Ludwik przyglądał się jej podejrzliwie, ale ton jego głosu pozbawiony był troski. Przeniósł wzrok na Adele.

– Mówiłam, że tu go nie zechcą – mruknęła tamta. – Nawet go nie szukali, bo i po co ciężar brać na plecy.

– Mówiłaś – przyznał Ludwik i ponownie zwrócił się do Zosi: – Nic pani nie jest?

– Nic, nic – odparła słabo. – Jestem tylko oszołomiona...

– Nie dziwota... Nie dziwota – mamrotał i przestępował z nogi na nogę. Przebrnął przez najtrudniejsze zadanie, wyjawiał cel przybycia. Teraz nie wiedział, co robić dalej. Na szczęście Zosia otrząsnęła się z pierwszego szoku i mimo szalejących w niej emocji, opanowała wzruszenie i wróciła do roli przykładowej gospodyni.

– Jest czas podwieczorku. Zanim udamy się do Bagiennej, pragnę zaprosić miłych sąsiadów na herbatę i ciasto – powiedziała, siląc się na spokój.

Znów ta wędrówka spojrzeń i jej strach, bo skrzętnie omijają jej wzrok, jakby tam, w Bagiennej czekało ją przerażenie... W jakim stanie znajduje się jej mąż, brat albo syn, skoro trzeba go zabrać, bo nie może wrócić do domu o własnych siłach? Jak bardzo musi być okaleczony, skoro oni tutaj mówią o nim: ciężar. Jakie mają o niej wyobrażenie, jeśli dopuszczają myśl, że ona go nie zechce i będą zmuszeni z nią walczyć?

– Z wielką, że tak powiem, przyjemnością – odpowiedział Ludwik. Zauważyła, że uśmiechnął się samymi wargami, oczy zaś pozostały nieufne, czujne. – Nie opowiedzieliśmy jeszcze o naszych dzieciach.

– Zapraszam zatem do jadalni – zachęciła, siląc się na uśmiech. Dostrzegli ten wysiłek. Nadal więc spoglądali podejrzliwie.

W jadalni czekał już Julian z Florkiem. Na stole ustawiono pachnący cynamonem jabłecznik i gorącą herbatę. Zosia przedstawiła gościom syna i jego nauczyciela. Marianna zaszचेbiotała do chłopaka, Adela zapytała go o coś, lecz Florek chyba nie potrafił odpowiedzieć. Zawahał się i poszukał odpowiedzi u matki. Teraz razem z Adelą i Marianną oczekiwali, co ona powie. Zosia spłoszyła się. Nie miała pojęcia, czego chcą. Myślami krążyła wokół kogoś, kto czeka w Bagiennej. Skrzywdzony, okaleczony i samotny.

– Słucham? Nie dosłyszałam pytania. – Uśmiechnęła się z przymusem, wyrwana z zadumy.

– Pytałam o obrus – Adela wskazała misterny haft na jego brzegach. – Czy to pani ma tak zdolne ręce?

– Ach, nie... To moja kuzynka z Warszawy – odparła.

– Piękny. Bardzo staranny. Nigdy nie miałam aż takiej cierpliwości. Może przyjedzie tu na lato?

– Kto? Eulalia?

– No... ta kuzynka. Eulalia, tak? Jakież to imię kobiece: Eulalia. Chętnie ją poznam.

– Nie pozna jej pani. Już nie.

– Rozumiem... – bąknęła Adela i zamilkła.

– Otóż, pani Zofio, ja i moja żona doczekaliśmy się trzech dorodnych córek – zagrmiał znienacka Ludwik. – Można ten kawałek jabłecznika? – przerwał i skinął na stojącą nieopodal stołu Józję, która natychmiast podeszła, by go obsłużyć.

Jabłecznik... Bartek wolałby ciasto ze śliwkami. Ale może tam nie on, tylko German albo Stach... Boże, jak długo ci tutaj będą trzymać ją w niepewności? Minuty odrywają się od tarczy zegara, krążą w powietrzu i znikają stracone. A on tam czeka...

– Jedna, niestety, odeszła do Pana – dobiegły jak zza gór słowa Marianny. – Śpij, aniołku – dodała łzawo i spojrzała na szwagierkę. – Pamiętasz ją, Adelo?

– O, tak. Piątego roku nie dożyła. Ale ja się tego spodziewałam, od początku była wątła – potwierdziła Adela.

– Bardzo mi przykro. To bolesna strata – odezwała się Zosia, bo wypadało coś powiedzieć.

– Na szczęście mamy jeszcze dwie. Róża ma piętnaście lat. A rok od niej młodsza ma na imię Marysia – wtrącił z dumą Ludwik.

– Bardzo ładnie – pochwaliła Zosia. – A pani dzieci? – zwróciła się z uprzejmości do Adeli. Nie interesowała jej odpowiedź. W tej chwili nie obchodziły jej niczyje dzieci.

– Bóg nie był łaskaw pobłogosławić – odrzekła Adela. – Nic nie szkodzi – zastrzegła natychmiast. – I tak jest ciasno – podkreśliła znacząco.



Dalsza część dostępna w wersji pełnej

SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Strona redakcyjna](#)

Copyright © 2025 by Ewa Cielesz

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

WYDANIE I

ISBN 978-83-8412-162-7



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek